

Barbara Skarga

„Na początku było słowo”

Wśród rozmaitych pojęć ściśle związanych z czasem i problemami czasu dotyczącymi pojęcie początku zajmuje szczególne miejsce. Wszakże w Biblii czytamy: na początku było słowo. Ci zaś, którzy badali, czym jest czas, natychmiast zadawali pytanie, czy istniał wiecznie, a jeżeli nie, to jak mógł zaistnieć, na skutek jakich wydarzeń lub woli i gdzie szukać należy momentów jego narodzin. Pytanie takie zadawali i Platon, i Plotyn, i wielu innych, rozpoczynając rozważania od radykalnego przeciwstawienia czasu wieczności. To bowiem, co najwyższe, jest wieczne, a wieczność jest wszak poza czasem, ona – jak pisał Platon – ani była, ani będzie. Stad wniosek, że czas musiał mieć swój początek. Czy jest on dziełem boskiego Demiurga, czy wyłonił się wraz z duszą, jak chciał Plotyn, która wciąż pragnie niedostatki tego świata uzupełniać, a więc powoduje ruch ku lepszemu, tworząc to „potem” lub „później”, czy zapanował z woli Boga w chwili stworzenia świata – czas znajdował się w centrum zainteresowań filozofii. A wraz z nim jego podstawowe elementy, to wczoraj i jutro, to było, jest i będzie, i ich odległe granice, początek oraz ewentualny kres.

Zostawmy jednak ten wielki problem początków czasu jako takiego. Nas bowiem interesuje bardziej czas w wymiarach naszej egzystencji, naszego ludzkiego życia. Czy z jego perspektywy można mówić o początku sensownie? Czy można stwierdzić, że taki punkt istnieje, a w konsekwencji podzielić czas na odcinki, znaleźć w nim jakieś miejsca wyróżnione, które wszak wydają się ginać, tonąć w tym wiecznie płynącym strumieniu, od nas niezależnym, niezrozumiałym w swym biegu, niedającym się opanować. Jak można taki punkt wyznaczyć, skoro już się rozplynął, skoro natychmiast przykryły go następne fale, skoro to „teraz”, jak już mówili starożytni, jest przemijaniem, przepływem, niczym więcej. Już Arystoteles miał kłopoty z wyznaczaniem owego „teraz”. Jeśli zaś pójdziemy śladami Bergsona, przyjmując jego koncepcję czasu, to taki punkt staje się czystą umownością. Czas bowiem jest jak melodia. Gdy słuchamy jej, „mamy najczystsze wrażenie następstwa, jakie mieć możemy – wrażenie możliwie najbardziej oddalone

od wrażenia jednoczesności, a przecież właśnie sama ciągłość melodii i niemożliwość jej rozłożenia wywierają na nas to wrażenie. Jeżeli dzielimy melodię na oddzielne nuty, na tyle «przed» i «po», ile się nam podoba, to znaczy, że wprowadzamy obrazy przestrzenne i następstwo nasycamy jednoczesnością¹. Dla Bergsona czas był ciągłością. Wiemy jednak, że istniały także inne teorie czasu, które mu ciągłości odmawiały, widząc w nim nieustanne dialektyczne zmaganie się istnienia i nicości, co świadczy o tym, że „nić czasu pokryta jest węzłami”, że zmiany, jakie przynosi, są zerwaniem, skokiem, a trwanie Bergsonowskie złudzeniem². Muzyka, która dobrze odzwierciedla czas, jest skomplikowaną strukturą. Pełno w niej zmian rytmu i pauz, niespodziewanych modulacji, dysonansowych brzmień itd.

Nie wiem, czym jest czas ani jakim jest. Nie podejmuję się wnikać w jego istotę. Wiem tylko, że na ogół widzi się w nim regulatora wszystkich zjawisk, jakby to on je ustawiał w należytej kolejności zgodnie z powszechną zasadą przyczyny i skutku. Gdy więc patrzymy wstecz, wydaje się nam, że całość zjawisk podlega kolejnemu uwarunkowaniu. Taki *regressus*, jak pisze Kant, „nie mógł być nigdy pomyślany jako skończony, a jeżeli to się miałoby stać, to trzeba by było pewien w sobie uwarunkowany człon przyjąć błędnie za pierwszy i tym samym za nieuwarunkowany”³. Intelkt wzdraga się przed przyjęciem tezy tak jaskrawo negującej powszechny związek wszystkich zdarzeń. Tymczasem jednak, dodaje Kant, ta „przyczynowość zgodna z prawami przyrody nie jest jedyną, z której dać się wyprowadzić wszystkie zjawiska w świecie. Dla ich wyjaśnienia trzeba jeszcze koniecznie przyjąć przyczynowość (dokonującą się) przez wolność”⁴. Taka wolność, którą Kant nazywa transcendentálną, a która „rozum spekulatywny wprawia w wielkie zakłopotanie”, jest zdolnością do rozpoczynania „szeregu następujących po sobie rzeczy lub stanów”.

Jeżeli teraz np. wstanę z krzesła zupełnie swobodnie i bez określającego w sposób konieczny wpływu przyczyn przyrody, to w tym zdarzeniu zaczyna się bezwzględnie nowy szereg wraz z naturalnymi jego następstwami w nieskończoność, chociaż co do czasu zdarzenie to jest tylko dalszym ciągiem pewnego poprzedzającego je szeregu. [...] I dlatego to, wprawdzie nie ze względu na czas, lecz przecież ze względu na przyczynowość trzeba je nazwać bezwzględnie pierwszym początkiem szeregu zjawisk⁵.

Ciąg zjawisk może zatem zostać rozerwany, jeżeli dopuścimy istnienie czegoś leżącego poza ich szeregiem, czas jednak biegnie dalej. Ten zdumiewający fakt, wydaje się dowodzić Kant, nie ma wpływu na sam czas. Wszystko to nadal

¹ H. Bergson, *Myśl i ruch. Dusza i ciało*, przeł. K. Błeszyński, P. Beylin, Warszawa 1963, s. 122.

² Por. G. Bachelard, *La dialectique de la durée*, Paris 1963.

³ I. Kant, *Krytyka czystego rozumu*, przeł. R. Ingarden, Warszawa 1957, t. 2 A. 528.

⁴ Tamże, t. 2 A. 444.

⁵ Tamże, t. 2 A. 450.

w nim się dzieje. A jednak, gdy czytamy kolejne tezy i antytezy trzeciej antynomii rozumu, rodzi się myśl, że Kant jest zbyt rygorystyczny. Choć mówi o wolności, o jej ogromnym znaczeniu dla naszego bycia, nie dostrzega, że właśnie dla tego bycia istnieją wydarzenia, które burzą porządek czasu, wdzierają się weń z czymś nowym i niespodziewanym. To zaś, co nowe, co inne, rozbija porządek rzeczy, pozwala na skok, który zmienia rytm czasowości. Czas przestaje być czasem zegarów – monotonnym i miarowym. Zawiesza się, przyspiesza, w jednym momencie rodzi to, co przyszłe, przynosi nagle to, co niespodziewane, zawraca gdzieś głęboko w przeszłość i wybiega w przyszłość. Oto już sięgamy w dalekie jutro, czerpiąc jednocześnie nauki z dawnej historii. Wolność wydaje się panować nawet nad czasem, bo to ona ma tę moc wyłamywania się z otaczającego nas świata przyrody i jego praw.

A zresztą ten nasz świat nie da się sprowadzić do przebiegu jakiegoś ciągu zjawisk. Każdy jego element inaczej się kształtuje w czasie i może być badany oddzielnie, jak i w związku z innymi elementami. Związki zaś między tymi elementami są dla nas dostrzegalne, a jednocześnie tajemnicze. Poszukiwanie praw usiłujących wprowadzić jakiś ład w ich ewolucję i wzajemne oddziaływania jest zadaniem nierozwiązywalnym. Z tego też powodu zarówno koncepcje deterministyczne, jak i indeterministyczne są niemożliwe do udowodnienia. Natomiast zawsze możemy wyróżnić momenty najistotniejszych zmian, określić ich parametry czasowe, prześledzić, jak się miały w stosunku do innego typu zmian.

To stare, a tak wciąż popularne wyobrażenie czasu ciągłego, niezmiennego w swym rytmie, obojętnego wobec wydarzeń, przenosi się na historię, tak jak gdyby i ona była jednym wartkim strumieniem toczącym się niezależnie od zachodzących w niej wypadków. Toteż mówi się nieraz, że historia nie zna początków, że nigdy nic nie zaczyna, jedynie modyfikuje, zmienia pod jakimś względem. To zaś, co nazywamy początkiem, jest wydarzeniem symbolizującym przemiany, niczym więcej, tak jak zburzenie Bastylii było symbolem rozpoczęcia się Rewolucji Francuskiej.

Nie jest to opinia bez racji. Ileż kłopotów mają historycy z określeniem początków państwa polskiego, epoki nowożytnej lub Rewolucji Francuskiej. Toczą się spory, gdzie i kiedy szukać należy narodzin Oświecenia, Romantyzmu, Pozytywizmu, jak gdyby miały one wyznaczoną datę. Kłóć się ci, którzy kładą nacisk na ciągłość historycznych procesów, ze zwolennikami ich dialektyzacji, a nawet atomizacji. Czym jest historia, czy rozwija się jak wstęga, tworząc sensowną całość, czy przeciwnie – jest chaosem poszczególnych, niepowiązanych ze sobą, przypadkowych wydarzeń. Dziś próbuje się wyjść poza owe dyskusje, choćby z tego względu, że obie koncepcje absolutyzują proces dziejowy, tak jakby alternatywy jedności i wielości nie można było przekroczyć. A przekroczyć ją trzeba. Nam bowiem są dane jedynie krótkie sekwencje procesu dziejowego i to zlokalizowane, różnego typu struktury temporalne, na które składają się takie lub inne wydarzenia. Te struktury dają się wyróżnić, ale trzeba pamiętać, że od wyboru

owych wydarzeń, od ich zestawień i powiązań zależą także własności, które historyk tym strukturom przypisuje. Same zaś wydarzenia nie są nam nigdy do końca dobrze znane. Mają swe rozmaite aspekty, przez współczesnych rozmaicie opisywane – i cała historia na tych, jak to się dziś mówi, drobnych narracjach się opiera, organizując je w większe sensowne całości, tworząc narrację narracji. Już kiedyś pisałam, że owe dwa graniczne wzorce rozumienia historii, bądź jako ciągłości, a więc zwartego systemu, bądź jako zatomizowanych wydarzeń i niekończących się rewolucji, znoszą historię samą. Wszędzie tam bowiem, gdzie dzieje totalizuje się w system, pozostaje wieczna idea, *eidos*, a wydarzenia ich poszczególnymi „figurami”, formami. Wszystko tu zostało ustalone niejako z góry. Tam nie płynie czas, gdyż czas realny związany z naszym ludzkim istnieniem rodzi się w spotkaniu z tym, co inne, nieprzewidywalne. Jest oczekiwaniem tego, czego jeszcze nie ma, i utratą tego, co było. Z drugiej strony atomizacja, absolutna przypadkowość wykluczająca ciągłość unicestwia to, co nazywamy naszym czasowaniem się, naszym byciem w czasie. Tam każde zdarzenie staje się światem dla samego siebie, jakby zawieszonym w wieczności. Nasz czas płynie inaczej. Nie zna systemów ani poszczególnych wydarzeń. Zna tylko fragmenty większych całości, gdzie różne fakty zderzają się z systemami, rozbijają je, tworząc nowe konfiguracje. Ten świat odległy, który odkrywamy w przeszłości, który interpretując – staramy się uporządkować, oscyluje, jak to już niegdyś Ricoeur powiedział, między strukturą a zdarzeniem. I taka jest też nasza historyczna wiedza, ta narracja, jaką tworzymy. Zwraca się ona ku wydarzeniom, organizując je w strukturalne całości, w jedną sensowną narrację.

Te strukturalne całości nie są jednak czymś całkowicie dowolnym, wszelkie interpretacje mają tu granice w powiązaniach samych wydarzeń. I tak z całej tej mozaiki sprzeczności, katastrof, załamań i ciągłości dają się wyłonić z przeszłych dziejów wyspy względnie trwałych form. Te formy w końcu ulegają rozbiciu, ale ich istnienie nie jest mirażem, są czymś konkretnym, co się daje opisać, ocenić, a co szczególnie dla mnie w tym momencie ważne – mają swój początek, swój moment rozwoju i swoją perspektywę trwania.

Początek nie jest więc pojęciem, które historyk powinien wyrzucić ze swego słownika. Jeżeli z tej gmatwaniny wydarzeń chce wydobyć jakąś temporalną strukturę, musi ten początek choćby prowizorycznie i niezbyt dokładnie określić. Pozwala mu na to jego wiedza zarówno o wydarzeniach poprzedzających powstanie owej struktury, jak i o jej losach. Zdarzenia zaś następują po sobie szybciej lub wolniej, w zaskakujących sekwencjach, niespodziewanych zwrotach. Dla tych, którzy są ich świadkami, stale coś się zaczyna i kończy. Chociażby historyk dowodził, że początek wydarzeń należy przesunąć znacznie w przeszłość, a poszczególne fakty wyjaśnić w ramach większej historycznej całości, dla uczestnika wydarzeń zmiana, w istocie rzeczy przygotowana przez spłot okoliczności, wydaje się radykalna. Spojrzenia historyka i świadka nie są z sobą zgodne. Być może

prawdziwa jest opinia historyka, istnieje jednak także prawda egzystencjalna, prawda przeżycia – lub inaczej: prawda ludzkiego doświadczenia.

Otóż początek i kres wydają mi się strukturalnymi elementami ludzkiej czasowości. Człowiek nieustannie coś zaczyna i coś kończy. Ma datę początku swego życia, datę narodzin. Wie, że to życie się skończy w określonym czasie. Czas ludzki jest znaczony takimi początkami jak pierwszy dzień w szkole, pierwsza samodzielna praca, pierwsza miłość. Zaczynamy się uczyć, kochać, gdzieś działać, robimy pierwsze w życiu samodzielne kroki, którym towarzyszą pierwsze potknięcia. Wszystkie te wydarzenia mają daty i te daty pamiętamy. Pamiętamy też daty ważnych wydarzeń, takich jak początek wojny, początek powstania, daty tragiczne, ale także radosne, które niosły z sobą nadzieję na nowe życie. Początki mają datę. Nie data jest jednak ważna, lecz samo wydarzenie. Znaczy ono cezurę czasową, pęknięcie czasowości, powodując zwrot, zmianę kierunku drogi.

Początek bowiem ma to do siebie, że wnosi w nasze życie coś, czego nie było, co jest nową jakością o nie zawsze przewidywalnych konsekwencjach. Zaczyna się coś, co zmienia naszą sytuację i niesie z sobą tajemnicze jutro. Początek więc to chwila ryzykowna, wymagająca przemyślenia, a często trudnej decyzji. A początki są różne, zależne i niezależne od naszej woli. Niemniej każda sytuacja musi być wpięrow rozpoznana, oceniona, aby można w niej było sensownie działać, aby przynajmniej do pewnego stopnia nad nią zapanować. Człowiek zawsze szuka sposobów, aby to, co się zaczęło z jego wolą czy wbrew niej, nie zniszczyło jego życia. Początek to moment egzystencjalnie istotny i zawsze niezmiennie trudny. W życiu zaś wszystkie początki, tragiczne i radosne, zależne od woli i niezależne, tak się z sobą splatają, że nie sposób myśleć o jednych, nie wspominając o drugich. Początki wydarzeń historycznych są rzecz jasna poza zasięgiem naszej woli. Kładą się często cieniem na naszym życiu, czasem, przeciwnie, budzą to, co już wydawało się martwe, tam jednak wpływu na sekwencję zdarzeń nie mamy, nie zdajemy też sobie sprawy, ku czemu ich bieg zmierza, jakie przyniesie rezultaty, choć możliwości rozważamy, choć usiłujemy je przewidzieć. Przewidywalność jednak w historii nie istnieje.

Nieco inaczej rzecz się ma, gdy sami coś zaczynamy. Taki początek ma zwykle swój określony cel, jest związany z jakimś zamiarem, jakimś projektem – i bez względu na to, czy ten projekt ma charakter konkretny i szczegółowy, czy dotyczy całości naszego bycia, wiąże się ze szczególną konfiguracją czasu. Początek natychmiast wgryza się w przyszłość, jakby powiedział Bergson. Więcej, to myśl o przyszłości w takim lub innym kształcie decyduje o zapoczątkowaniu i kolejnych momentach. Malarz od pierwszych rzutów farby na płótno szuka drogi do swej wizji obrazu. Tworzący dzieło chce mu nadać określony kształt. Nie ma pewności, czy jego zamierzenia dadzą się zrealizować, ale ku temu dąży i usiłuje wszystkie swe poczynania im podporządkować. Początek jest więc zwrócony ku temu, co ma nadejść, ale już na nim przyszłość odciska swe piętno. Tej

przyszłości się oczekuje. Od chwili rozpoczęcia realizacji projektu czas przyjmuje więc formę oczekiwania, oczekiwania niespokojnego, pełnego załamania, utraty wiary w możliwość realizacji, to znów jej nowych wzlotów, oczekiwania nadającego czasowości naszego istnienia zmienne rytmy. A jednocześnie temu zwrotowi ku przyszłości towarzyszy nieustanne spojrzenie wstecz. I to spojrzenie jest konieczne, idąc bowiem ku temu, co inne, co ma zaznaczyć nowy moment w naszym byciu, musimy tę przeszłość albo zanegować, co jest posunięciem radykalnym, albo przynajmniej jej obraz tak przetworzyć, tak przystosować do nowych celów, by można było z niej wydobyć treści niedostatecznie odsłonięte lub nie w pełni zrealizowane, ale istotne i wymagające uwzględnienia, a nawet kontynuacji. Powrót do przeszłości nie jest jej ślepą kontynuacją, przedłużeniem, uwiecznieniem w uformowanym już kształcie. To raczej przetworzenie, jakiego się domaga nowa sytuacja, nowa płaszczyzna doświadczeń i myśl o przyszłości. W tym zwrocie do przeszłości na początku dzieła tkwi siła oczyszczająca i siła konstruktywna, siła negacji i siła powołująca do istnienia.

Dla ludzkiej egzystencji początek, ten wyłom w czasie, ten skok naruszający porządek, który skłonni jesteśmy pod wpływem fizykalnych teorii czasowi przypisywać, ma zatem ogromne znaczenie. Bez tych różnych początków ludzkość zastygłaby w martwocie, jakby w wiecznym teraz, gdzie czas nie rodzi oczekiwania, gdzie przyszłość staje się pustym słowem. Początki przynoszą obudzenie, początki zmuszają do spojrzenia w przyszłość, otwierają perspektywy. I – by skończyć już te rozważania – zdajmy sobie sprawę z jednego faktu: wszakże jesteśmy, bo był jakiś początek, chociaż nie znamy dokładnej jego daty.

In the Beginning Was the Word

Time and music both impart a certain sense of continuity and succession on our imagination. Moreover, music always begins from a few first notes that activate our inventiveness and make us imagine how the melody will run further on. Similarly our conscious life begins from a few initial presupposition that we can develop and continue in different directions. In both cases the beginnings are of utmost importance. They promise more than life usually permits, introduce a sense of rhythm and order, open new horizons and probe the limits of our liberty. It is also interesting that both time and music are open to retrospective reinterpretations. The actual point of departure is to some extent arbitrary and/or conventionally imposed. The continuation is exposed to a risk of dissonance or a wasted opportunity. But it can also lead to unexpected or undeserved satisfaction. Finally the effect can mean many different things to different people.